

Tabu pęka w Grecji

NA RAZIE EUROPEJSCY POLITYCY NAWET NIE ROZMAWIAJĄ O WYJŚCIU GRECJI ZE STREFY EURO. Nikt nie wie, jakie skutki mogłaby mieć taka podróż w nieznaną. Jeśli okazałoby się, że strefę euro można bezpiecznie opuścić, to drogą tą mogą pójść inni. Co wtedy będzie z Unią?

WITOLD GADOMSKI

Kraj, którego wierzyciele żądają od pożyczonego euro 27 centów odsetek rocznie, jest bankrutem. Takim właśnie krajem jest Grecja, której dług publiczny wynosi niemal 150 proc. PKB i codziennie powiększa się o 50 mln euro. Zbankrutowała w ubiegłym roku, choć zatuszowano to dzięki pomocy od krajów strefy euro i Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Dla mało uważnego obserwatora pomoc jest równoznaczna z darowizną. Błąd MFU i stworzony przez kraje unijne fundusz finansowej stabilności strefy euro (European Financial Stability Facility – EFSF) udzieliły Grecji kredytu. Wprawdzie oprocentowanego niżej, niż żądały prywatne banki (ok. 5 proc.), jednak kredyt (110 mld euro) trzeba będzie spłacić.

Ponad stan

Grecki kryzys był zaskoczeniem dla europejskich przywódców, więc reagowali za późno. Wiosną 2010 r., gdy rynki finansowe zaczęły nerwowo pozbywać się greckich obligacji, tygodniami szlifowali do połysku komunikaty, które miały uspokoić inwestorów.



KOBIETA ranna podczas protestów, Ateny, 11 maja 2011 r.

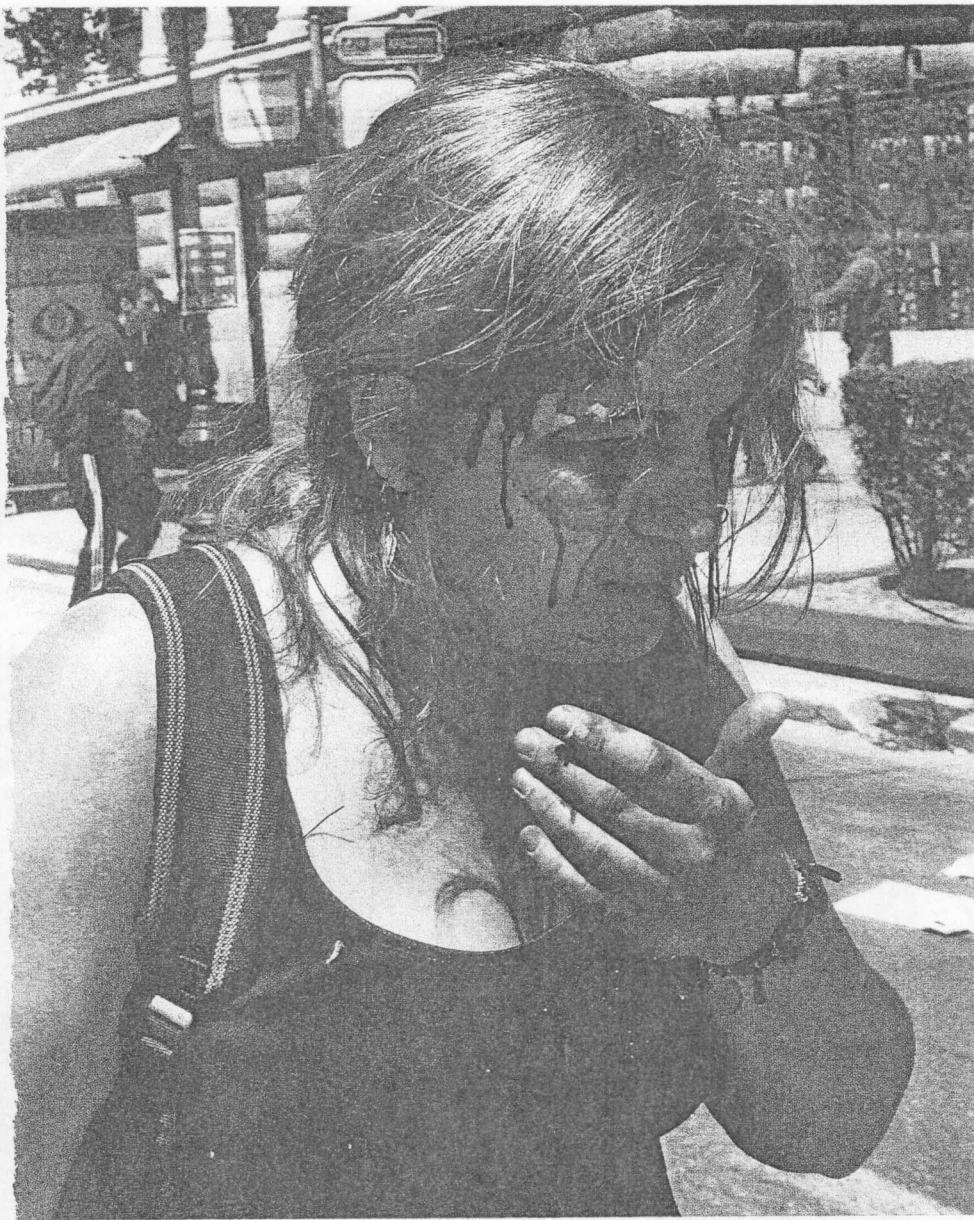
Mistrzem słowa okazał się luksemburski premier Jean-Claude Juncker, przewodniczący krajów strefy euro. „Grecja naprawdę musi coś zrobić i Grecja właśnie to robi” – powtarzał, gdy „kolebka demokracji” pogrążyła się w finansowym bagnie.

Angela Merkel, wiedząc, że jej kraj będzie musiał ponieść największy ciężar akcji pomocowej, domagała się, by pożyczki dla Grecji udzielić na warunkach rynkowych. Ale dla bankruta warunki rynkowe były niemożliwe dla zaakceptowania. W końcu niemiecka kanclerz – nie ukrywając wściekłości – zgodziła się na pomoc, żądając, by Grecy zaciśnili pasa aż do bólu. Socjalistyczny premier Georgios Papandreu znalazł się między Scyllą (partnerami z UE) a Charybdą (rozwścieczonymi związkowcami i wyborcami). Uznał, że Scylla jest groźniejsza. Podniesiono VAT i akcyzę na benzynę, obcięto o 30 proc. premie (w wysokości trzykrotnej pensji) pracowników państwowych. Rząd obiecał też przyspieszyć prywatyzację.

Dla wielu Greków rządowy plan oszczędnościowy to „drakońskie cięcia” i zamach

na przywileje. Ale z punktu widzenia rynków finansowych to ledwie kosmetyka. W 2010 r. budżet zamknął się deficytem 24,2 mld euro (10,5 proc. PKB), w tym zaplanowano ponad 17 mld euro deficytu. Jeśli „drakońskie cięcia” przyniosły ledwie kilka miliardów euro oszczędności, wywołując ogromne protesty, to jakim cudem rząd ma ściąć aż 20-30 mld euro, bez których nie ma co marzyć o zabranii się do zmniejszania zadłużenia?! „Sprzedajcie wasze wyspy, wy greccy bankruci, i Akropol także!” – zatyłował niemiecki tabloid „Bild” artykuł o greckim kryzysie. Europejczycy cudowne lekarstwo widzą w prywatyzacji. Szacunki mówią, że rząd może uzyskać ze sprzedaży majątku nawet 30 mld euro.

Dług to niejedyny problem greckiej gospodarki. Grecy latami żyli ponad stan, zarabiali zbyt dużo, przechodzili wcześniej na emerytury i cieszyli się przywilejami socjalnymi, które nawet w Polsce uznalibyśmy za absurdalne. Opieka państwa i zmywy korporacji zawodowych zabiły konkurencyjność. Grecja niewiele eksportuje, a importuje nawet pomidory – między innymi z Polski.



Gospodarka, która się nie rozwija lub się kurczy, jak grecka, nie przynosi państwu dochodów wystarczających do spłaty długów. Podniesienie podatków tylko przyniesie gospodarce do ziemi. Konieczne są reformy strukturalne, do których wzywa UE. Przywódcy krajów, które w największym stopniu partycypowały w funduszu pomocowym, wciąż mają nadzieję uniknięcia „przeprofilowania” greckiego długu, czyli skreślenia jego części. W wypadku bankructwa to operacja standardowa. Wierzyciele muszą pogodzić się ze stratami, obniżyć oprocentowanie, dać dłużnikowi więcej czasu na spłatę. Kłopot w tym, że obligacje greckie o wartości co najmniej 60 mld euro są w posiadaniu europejskich banków komercyjnych, które ledwo wyszły z globalnego kryzysu. Politycy obawiają się, że strata na greckich papierach zniechęci je do udzielania kredytów i ponownie zepchnie gospodarce w recesję.

Problemem są też wyborcy. – Dlaczego mamy płacić na Greków, którzy prowadzili nieodpowiedzialną politykę budżetową? – mówią Niemcy. Z głosem wyborców Angela

Merkel musi się liczyć. W spokojnej Finlandii populistyczna partia Prawdziwi Finowie weszła do parlamentu pod hasłami wstrzymania pomocy dla bankrutów.

Samo się nie rozwiąże

Dla Europy najlepszym scenariuszem byłyby głębokie reformy greckiej gospodarki i finansów, które pozwoliłyby wygospodarować nadwyżkę na spłatę długu. Realizacja tego scenariusza byłaby prostsza, gdyby Grecja miała własną walutę. Przed czternastu laty podobny kryzys dotknął kraje Azji Wschodniej, prowadząc do głębokiego spadku PKB w Indonezji, Tajlandii, Malezji, Korei Południowej. Spadł kurs ich walut – w Indonezji ponadtrzykrotnie – a tym samym płace liczone w dolarach i koszty pracy. To pozwoliło zwiększyć eksport. Trauma trwała niecały rok, po czym Azja Wschodnia zaczęła szybko i stabilnie rosnąć.

Taki scenariusz dla Grecji jest wciąż nie do wyobrażenia. Wprawdzie minister finansów Niemiec Wolfgang Schäuble przyznał, że w wypadku Grecji nie istnieje żadne tabu,

ale jednocześnie przekonywał, że wyjście kraju ze strefy euro i powrót do drachmy byłyby dla strefy euro i Unii Europejskiej katastrofą.

Byłby to też bolesny scenariusz dla samej Grecji. Kurs nowej waluty ukształtowałby się na takim poziomie, by zapewnić równowagę między eksportem i importem. Dla zagranicznych turystów Grecja stałaby się krajem bardzo tanim, ale dla Greków importowana benzyna, samochody, telewizory, zbroże stałyby się drogie. Tysiące firm, zadłużonych za granicą, zbankrutowałyby, bo ich dochody w drachmach nie pozwoliłyby na spłatę kredytów. Bezrobocie i inflacja skoczyłyby do nieprawdopodobnych rozmiarów i Grecy musieliby zacisnąć pasa. Mechanizm rynkowy załatwiłby to, czego nie potrafi zrobić rząd – wymusiłby oszczędności i reformy.

A co z długiem? Tak czy inaczej jest nie do spłacenia. Musi zostać zredukowany, a spłaty pozostałej części muszą być rozłożone na dłuższy okres. Obligacje nominowane w drachmach będą oprocentowane znacznie wyżej niż euroobligacje – np. emitowane przez rząd niemiecki. Ale dziś i tak nikt nie chce pożyczać Grecji. Grecja także poza strefą euro będzie wymagała pomocy, ale wcześniej czy później zostanie zaakceptowana przez rynki finansowe jako wiarygodny klient.

To scenariusz coraz bardziej realny, choć wciąż odrzucany przez europejskich polityków. Co najmniej z trzech powodów. Po pierwsze, banki nie mogłyby dłużej udawać, że mają w portfelach pełnowartościowe greckie aktywa. Musiałyby spisać je na straty. Po drugie, wyjście Grecji ze strefy euro spowoduje znaczne umocnienie europejskiej waluty. Tego najbardziej obawiają się Niemcy – umocnienie euro sprawi kłopoty niemieckim eksporterom i zdusi wzrost ich gospodarki.

Po trzecie, nikt nie wie, jakie będą skutki wyjścia Grecji ze strefy euro. Może nic się nie wydarzy, a może dojdzie do katastrofy, która obejmie całą strefę euro, a w konsekwencji Unię. Jeśli się okaże, że strefę euro można bezpiecznie opuścić, to tabu przestanie istnieć. Szlakiem przetartym przez Grecję pójdzie Irlandia, za nią Portugalia, Hiszpania, Włochy. Wspólna europejska waluta stanie się martwym projektem.

Od półtora roku europejscy politycy udają, że problem zadłużonych krajów strefy euro w jakiś cudowny sposób sam się rozwiąże. Ze kosztów nie poniosą ani banki, które udzielały zagrożonym krajom pożyczek, ani rządy, które zrzuciły się na fundusz pomocowy, ani Europejski Bank Centralny, który kupował obligacje zagrożonych krajów, ani Unia Europejska jako projekt gospodarczy i polityczny. Zupełnie jakby zarazili się polskim „jakoś to będzie”. □